

Rozdział I

Gmach Urzędu Miasta Poznania dzięki reflektorom rozświetlającym poszczególne partie budynku wyglądał jak wielki, różowo-biały tort, zwłaszcza teraz, przed wczesnowiosennym świtem, gdy jego sylwetka była tak doskonale widoczna na tle ciemnego nieba. Byli co prawda i tacy, którym ten dawny barokowy klasztor przypominał bardziej zamki króla Ludwika II Szalonego w Bawarii. Jednak to porównanie, biorąc pod uwagę fakt, że poznańska budowla dysponowała tylko jedną wieżą, jednym tarasem i trzema niewielkimi dziedzińcami wewnętrznymi, w dodatku położonymi na jednym poziomie, było zdecydowanie na wyrost. Co prawda, obiektywnie trzeba przyznać, że w pełnym słońcu owa wieża miała pewien majestatyczny – choć zdecydowanie tortowy – wdzięk, a jeden z dziedzińców, wyremontowany przez obecnego prezydenta, dodawał całej budowli lekkości, uroku i wielkopańskiego sznytu. Ale wczesną wiosną poranek przychodził późno, a słońce było widoczne rzadko i zdecydowanie

lepiej było oglądać budynek w mroku, podziwiając jego podświetloną urodę w całej okazałości. Zresztą w dzień, zwłaszcza gdy świeciło słońce, w oczy rzucały się niezbyt apetyczne szczegóły, które przyćmiewały urok budowl: wyraźnie było widać ciemne plamy brudu na tynku, przy jednym ze skrzydeł stały wyjątkowo szpetne rusztowania, a gdzieniegdzie, jak wyrzuty sumienia, widniały czarne gryzmoły domorosłych i zdecydowanie mało utalentowanych twórców graffiti. Najwięcej czarnych plam i napisów było od strony parku, bo tam miejski monitoring z powodu słabo świecących latarni, gęsto rosnących drzew, niskiego ogrodzenia i kompletnego braku patroli policji sprawdzał się najslabiej. Nie da się ukryć: budynek zdecydowanie lepiej prezentował się w nocy. Najlepiej wiedzieli o tym turyści i pracownicy urzędu, zwłaszcza ci rozpoczynający pracę o siódmej rano. Idąc do pracy wiosną czy zimą, a więc przed świtem, mieli okazję podziwiać gmach w całej okazałości wraz z jego efektowną iluminacją.

Na ciemnym i pustym o tak wczesnej porze korytarzu urzędu rozległo się energiczne stukanie obcasów. Jak w każdy roboczy dzień od sześciu lat, tak i w tę feralną środę przed siódmą rano Alicja Zabielska, starszy specjalista do spraw współpracy z mediami, przysła do pracy i stanęła przed drzwiami prowadzącymi do kompleksu pokoi mieszczących biuro prasowe prezydenta

Poznania. Zawsze pojawiała się jako pierwsza, zapalała światła, wstawiała wodę na kawę i otwierała okna, żeby wpuścić świeże powietrze. W pokojach pionu kierowniczego, czyli dyrektorów i ich zastępców, była klimatyzacja i okien się nie otwierało, ale w pokojach zwykłych pracowników tego luksusu już nie było. Jedyną szansą na świeże powietrze było otwarcie okna.

Tym razem jednak, ku zdumieniu Alicji, lampy były już zapalone, chociaż było mało prawdopodobne, żeby ktoś oprócz niej był już w pracy – przynajmniej do tej pory to się jeszcze nie zdarzyło. Pewnie wczoraj sprzątaczkі zapomniały zgasić światło, pomyślała. Jednak to, co zobaczyła, gdy otworzyła drzwi, z pewnością nie było dziełem sprzątarek. Na podłodze, tuż za progiem swojego gabinetu, leżał w dziwnie skurczonej pozycji Janusz Talarek, zastępca dyrektora gabinetu prezydenta. Jego głowa spoczywała w dużej kałuży czegoś czarnego, co – jak sobie Alicja uświadomiła ze zgrozą – było najprawdopodobniej zakrzepłą krwią. Dziewczyna nerwowo przełknęła ślinę, a potem zamknęła oczy, mając absurdalną nadzieję, że to tylko złudzenie. Ale gdy je otworzyła, dyrektor Talarek nadal leżał na podłodze i nadal wyglądał na nieżywego. Bardzo nieżywego. Alicja nie umiała już opanować narastającej histerii i poranną ciszę nobliwej instytucji zakłócił jej nieprofesjonalny, ale za to przeraźliwy krzyk. A potem osunęła się na fotel stojący przy wejściu i po raz pierwszy w życiu zemdląła.

Odzyskała przytomność jakiś czas później, czując na twarzy dotyk czegoś wilgotnego, chłodnego i przyjemnie miękkiego.

– Alicja, ocknij się już! – usłyszała jak przez watę głos swojej koleżanki z pracy. Magda Chyży także zaczynała pracę o siódmej rano i zazwyczaj przychodziła kilka minut po Alicji. Zawsze, zanim zaczął się codzienny młyn, piły razem kawę i robiły przegląd prasy, co należało do ich obowiązków. No, dziś raczej przeglądu prasy nie będzie, pomyślała półprzytomnie Alicja, ale kawy bym się jednak napiła...

– Pogotowie już jedzie i policja też – usłyszała kolejny głos, tym razem mężczyzny. – Co z nią?

Alicja poznała ten głos. To był Paweł, ten przystojny strażnik miejski, do którego wzdychały wszystkie młodsze urzędniczki. Widocznie to on dziś miał poranny dyżur w urzędzie. Ale dlaczego wezwał policję? Czy to znaczy, że jednak to, co widziała, nie było halucynacją? Alicja jęknęła głośno i otworzyła oczy.

– No, wreszcie! – W głosie Magdy słychać było ogromną ulgę. – Już myśleliśmy z panem Pawłem, że trzeba cię będzie odtransportować do szpitala. Leżałaś nieprzytomna ponad kwadrans. Wezwaliśmy pogotowie głównie do ciebie, bo temu tam, znaczy dyrektorowi, już żaden lekarz nie pomoże. Do niego jedzie policja.

– Pani Alicjo, czy może nam pani opowiedzieć, co tu się stało? – włączył się do rozmowy Paweł.

Alicja spróbowała coś powiedzieć, ale głos uwiązł jej w gardle. Magda szybko podała jej gorącą kawę i to było dokładnie to, czego potrzebowała. Wypiła łączywie chyba z pół kubka, zanim była w stanie mówić.

– Przyszłam do pracy przed siódmą, jak zawsze. Może było za dziesięć siódma – zaczęła mówić. – Gdy dochodziłam do drzwi, zauważyłam, że w środku pali się światło, ale pomyślałam, że zostawiły je sprzątaczk. To im się czasem zdarza. Drzwi były zamknięte, musiałam użyć karty. A gdy je otworzyłam i weszłam do pokoju, zobaczyłam... – Głos Alicji załamał się nagle. – ...zobaczyłam leżącego na podłodze dyrektora i czarną plamę wokół jego głowy.

– Dotykała go pani, weszła pani dalej do środka? – pytał dalej Paweł.

– Nie. Upadłam na ten fotel i już tak zostałam. Chyba... chyba krzyknęłam, a potem straciłam przytomność.

– A pani, pani Magdo? Co pani widziała?

– Nic nie widziałam. – Dziewczyna wzruszyła ramionami. – Szłam schodami, tymi przy wejściu do naszego pokoju, i słyszałam kroki Alicji od windy. To na pewno były jej kroki, ona wybija taki charakterystyczny rytm, jak idzie, zresztą o tej porze dnia na naszym piętrze to jedyne kroki, jakie można usłyszeć. Wszystkie inne wydziały zaczynają pracę o ósmej albo o dziewiątej. Po-tem była chwila ciszy i nawet pomyślałam, że stoi przed

drzwiami, bo pewnie karta do drzwi jej się zawieruszyła w torebce i nie może jej znaleźć. Przyśpieszyłam kroku, żeby jej otworzyć drzwi, i miałam jeszcze pół piętra do przejścia, gdy usłyszałam straszny krzyk, a potem odgłos upadku czegoś ciężkiego. Pobiełam i zobaczyłam otwarte drzwi, Alicję leżącą bezwładnie na fotelu i dyrektora na podłodze. Zadzwoniłam po pana, a potem na pogotowie. I to wszystko.

– I pani też nie wchodziła dalej?

– Nie. Dzwoniłam stąd, z recepcji. – Magda pokazała biurko stojące przy drzwiach. Zazwyczaj rezydowali przy nim stażyści, pełniący też funkcję recepcjonistów. Biuro prasowe składało się z pięciu pokoi połączonych wspólnym holem wejściowym, więc ich głównym zadaniem było kierowanie interesantów do odpowiednich osób.

– Dobrze, że nie wchodziły panie dalej – uznał Paweł, najwyraźniej bardzo przejęty swoją rolą. – Policja będzie zadowolona, że nikt niczego nie ruszał. Zaczekamy na nich na zewnątrz, a ja zamknę drzwi, żeby nikt tu nie wchodził.

Alicja i Magda posłusznie wyszły z pokoju i usiadły na ławce w korytarzu, a Paweł starannie zamknął drzwi. Zrobił to w samą porę, bo przed biurem było już całkiem sporo zaciekawionych osób, które usłyszały krzyk Alicji albo informację – plotka w urzędzie roznosi się z prędkością ponaddźwiękową – że w prasowym coś

się dzieje, więc przyszedł dopytać o szczegóły. Sam widok bladej i roztrzęsionej Alicji był dowodem na to, że miało tam miejsce rzeczywiście coś niezwykłego. Zazwyczaj Alicja tryskała energią. Lawinę pytań i dobre rady w sprawie omdlenia przerwało przybycie pani Wandy, sekretarki dyrektora gabinetu prezydenta. Na jej widok korytarz błyskawicznie opustoszał. Pani Wanda rządziła sekretariatem twardą ręką, a po cichu mówiono, że i samym dyrektorem też. Mało kto miał odwagę się jej postawić.

– Co tu się dzieje, czy wy nie macie co robić? – zapytała ostro.

– Pani Wando, mamy tu nieoczekiwane zdarzenie, właśnie czekamy na policję – odpowiedział sztywno i dość niepewnie Paweł. On także znał reputację sekretarki.

– Domyślam się, że bez powodu nie zamknął pan miejsca pracy kilkunastu osób – warknęła bezpardonowo Wanda. – Po urzędzie krążą plotki o zwłokach w biurze prasowym, więc dyrektor kazał mi sprawdzić, ile w tym prawdy. Kto jak kto, ale on chyba powinien wiedzieć, jeśli coś takiego ma miejsce w jego jednostce, prawda?

Na twarzy Pawła odbił się rozpaczliwy wysiłek umysłowy, co Magda i Alicja obserwowały z dużym zainteresowaniem. Policja, jak im powiedział, kategorycznie zabroniła udzielać komukolwiek jakichkolwiek

informacji o zdarzeniu. Ale czy bezpośredni zwierzchnik nieżyjącego też podlegał pod kategorię „komukolwiek”? W końcu choćby z przyczyn organizacyjnych i tak trzeba mu będzie o tym powiedzieć, zresztą w całym urzędzie wszyscy już o tym wiedzą albo właśnie się dowiadują.

– W biurze prasowym leży ciało dyrektora Talaraka – powiedział w końcu niechętnie. – Znalazła go rano pani Alicja. I to jest wszystko, co obecnie nam wiadomo. Jak przyjedzie policja, to być może dowiemy się więcej.

Paweł nie zdążył nic dodać, bo zaskrzeczała jego krótkofalówka, wybawiając go z kłopotu. Przez chwilę słuchał uważnie, po czym wstał z ławki.

– Policja już jest. Idę po nich. Prosił, żeby panie na nich tu poczekały – powiedział i zniknął na schodach.

Trzy kobiety popatrzyły po sobie ze zdziwieniem.

– Naprawdę ktoś zabił dupka? – zapytała niedowierzająco Wanda. – Nie powiem, żeby sobie nie zasłużył, ale komu chciało się ręce brudzić?

– Nie wiem, czy go ktoś zabił. – Alicja wzruszyła ramionami. – Widziałam ciało i takie czarne wokół głowy, chyba krew, ale żadnej rany nie widziałam ani nic.

– Ja widziałam dokładnie tyle samo – dodała Magda.

– Cholera, ale będzie, jeśli ktoś go utłukł – westchnęła ciężko Wanda. – Sporo osób za nim nie przepadało.

– Ale raczej nie aż tak, żeby go czymś łupnąć u niego w gabinecie – sprzeciwiła się Alicja. – Wszystkim, z którymi miał styczność, załatwił za skórę, ale nie uwierzę, żeby ktoś go zabił, bo mu wlepił naganę czy kazał przygotować lewą umowę dla firmy swojej żony!

– Prawda – zgodziła się Magda. – Ale z drugiej strony, skoro on tutaj robił takie wałki, a przecież pracował zaledwie rok, to co robił wcześniej? Może się komuś naraził w poprzedniej firmie? Przy jego sposobie postępowania z ludźmi to ja w ogóle się dziwię, że on tak długo żył.

Maniery dyrektora Talarka i brak jakiegokolwiek merytorycznej wiedzy z dziedziny, którą się zajmował, a więc obsługi prasowej prezydenta, były już słynne w całym urzędzie. Przekazywał dziewczynom od finansów umowy z podstawowymi błędami prawnymi i rachunkowymi, zakazując im cokolwiek zmieniać i twierdząc, że jest specjalistą od funduszy unijnych, czyli doskonale się na tym zna. Ignorował przepisy ustawy samorządowej, bo uznał je za głupie, zwłaszcza te dotyczące zarządzania pieniędzmi. A pracownicy biura prasowego otrzymali od niego zestaw zasad pisania artykułów na miejską stronę internetową, w których między innymi nakazywał używania tylko zdań prostych, nie złożonych. Za inne groziła awantura, publiczne podważanie umiejętności pracownika, a przy powtarzaniu tego strasznego przestępstwa – nagana. Nie rozumiał

podstawowych pojęć z zakresu urbanistyki, procesu prowadzenia inwestycji i organizacji ruchu drogowego, co sprawiało, że artykuły na ten temat pojawiające się na stronie miejskiej prezentowały poziom wczesnej szkoły podstawowej. Kompletnie też nie znał miasta, w którym pracował – choć urodził się w Poznaniu, większość zawodowego życia spędził w stolicy. Problemy poznaniaków były mu tak obce jak mieszkańców Wysp Marshalla czy RPA, a jego pytania typu: „co to znaczy sygnalizacja stałoczasowa” lub „dlaczego remont ronda Rataje budzi takie kontrowersje” krążyły po urzędzie jako dowcipy.

Oczywiście pracownicy się skarżyli, korzystali z porad zespołu antymobbingowego urzędu, w którym zwłaszcza ostatnio drzwi się nie zamykały. Ale to nie dawało żadnego efektu. Dyrektor Talarek, zwany familiarnie „dupkiem”, był nie do ruszenia i nikt nie wiedział dlaczego. Wiadomo za to było na pewno, że kto mu podskoczy, wykaże jego niekompetencję – co nie było trudne – albo nie zechce wypełnić szczególnie idiotycznego polecenia, na pewno zostanie ukarany. Kilka osób zostało już przeniesionych na rzekomo lepsze stanowiska w innych wydziałach, gdzie czekały chwile, aż dostaną wypowiedzenia, kilka zwolniło się z własnej woli, nie doczekawszy się reakcji ani głównego dyrektora, ani prezydenta. Przekonanie, że coraz gorsza opinia o prezydencie w mieście to zasługa niekompetentnego dyrektora

i fatalnego zespołu, było w urzędzie powszechne. Nie docierało to tylko do najważniejszego zainteresowanego, czyli prezydenta. Ale czy rzeczywiście? Tego nikt z mobbingowanych nie wiedział, bo mobbingujący, z przyczyn oczywistych, nie mieli interesu w powiadamianiu szefa miasta o sytuacji.

– Idę. – Wanda wstała z ławki. – Trzeba głównemu powiedzieć, co się dzieje. Nie będzie zachwycony...

– No co ty nie powiesz? – Magda się zaśmiała. – Nie zdziwię się, jak zatańczy z radości, że się pozbył dupka! Przecież doskonale wiesz, że ten kretyń dyktował głównemu i połowie dyrektorów urzędu, co mają robić. I nie były to mądre tudzież rozsądne zalecenia...

Wanda obrzuciła Magdę uważnym spojrzeniem.

– Na temat tego, kto kim rządził, nic nie mogę powiedzieć, bo w zebraniach dyrektorów nie uczestniczę – powiedziała chłodno. – Ty też nie. To są tylko niepotwierdzone plotki, więc ja bym się nimi przed policją raczej nie chwaliła.

– Oj, Wanda... – zezłościła się Magda. – Tylko plotki? A to wywalenie Błażeja za wpisy na prywatnym Facebooku, które mu się nie podobały? A doskonale wiesz, że nic w nich takiego nie było, każdy sobie to mógł sprawdzić na jego wallu. Gdyby Błażej sam nie odszedł, dostałby dyscyplinarkę i nikt o tym nie wie lepiej niż ty, bo wszystkie dokumenty tego rodzaju przechodzą przez twoje biurko. A ta dziewczyna, którą przenieśli do

zieleni miejskiej? Tu była kierownikiem, odpowiadała za finanse dużych imprez promocyjnych i dobrze jej to wychodziło, nikt się nigdy do jej rozliczeń nie przyczepił, nawet RIO*, zawsze potrafiła zorganizować kasę na to, co było potrzebne. A co robi w ZZM**? Wklepuje faktury do komputera. Doprawdy, niezwykle ważne i odpowiedzialne zadanie dla osoby z jej kompetencjami! Wszyscy ci ludzie mieli jedną wspólną cechę: znali się na swojej robocie i nie bali się powiedzieć, że dyrektor nie ma racji.

– I co, uważasz, że któreś z nich zabiło dupka? – odparowała Wanda. – Z takich powodów idzie się na zwolnienie lekarskie, do sądu pracy, zmienia robotę na inną, ale nie zabija dyrektora. Wychodząc z tego założenia, to i ty miałaś powody, żeby go zabić, i Alicja też. Wasze relacje z zabitym raczej trudno nazwać wzorcowymi, no nie?

Z tym stwierdzeniem nie sposób było się nie zgodzić, ale Magda nie zamierzała ustąpić. Jednak na schodach właśnie pojawili się przedstawiciele sił policyjnych miasta Poznania i kłótnię trzeba było zawiesić.

* Regionalna Izba Obrachunkowa.

** Zarząd Zieleni Miejskiej.